



Nocna wizyta

Neville Longbottom uczy w Hogwarcie zielarstwa — wyjaśniła Lisa, kiedy kwadrans później szli pospiesznie główną ulicą wioski. — Ale przed laty aktywnie działał w Zakonie Feniksa. Z pewnością będzie coś wiedział o Traversie.

— Nie wiem czy to dobry pomysł — odpowiedział jej sucho Martin. Lisa nagle się zatrzymała i obdarzyła go zaskoczonym spojrzeniem.

— A to niby dlaczego? — spytała zdziwiona. Martin pobladł.

— Longbottom przyjaźni się z szefem Biura Aurorów — zaczął po chwili, wyraźnie zaniepokojony — a ja jestem zamieszka-

ny w kradzież zmieniaacza czasu. Gdyby aurorzy się o tym dowiedzieli, miałbym poważne kłopoty.

Lisa westchnęła ciężko. Zarzuciła szal na szyję i ponownie ruszyła drogą. Martin starał się dotrzymać jej kroku.

— Sam się o te kłopoty prosileś — stwierdziła z niesmakiem. — Próbowałam cię odwieźć od pomysłu okradania Praksey Ugglyfoot..

Martin westchnął ciężko, mocno poirytowany.

— Ta tłusta flądra sama ukradła zmieniaacz czasu z Departamentu Tajemnic — odparł ze złością. — A ja zamierzałem go oddać, zaraz po tym jak...

W ostatniej chwili nabral woda w usta. *Mało brakowało, żebym się wygadał! W końcu Lisa nie może o niczym wiedzieć. Nie zrozumiałaby tego. Odwróciłaby się ode mnie... Teraz, gdy tak bardzo jej potrzebuję.*

— Chciałeś mi coś powiedzieć? — spytała zaintrygowana Lisa, przerywając niezręczną ciszę, która nastąpiła. Martin spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

— Nie mówmy o niczym temu Neville'owi — poprosił desperacko. — Nie chcę, żeby aurorzy się o tym dowiedzieli. Muszę sam to jakoś naprawić.

Lisa westchnęła ciężko. Spojrzała na towarzysza z poirytowaniem, ale Martin dostrzegł w jej oczach prawdziwą troskę.

— Nie sam — odpowiedziała, przyspieszając kroku. — Pomogę ci.

Martin poczuł olbrzymią wdzięczność. Od kiedy dowiedział się, że jest czarodziejem, Lisa stale była dla niego ogromnym wsparciem. Mógł na niej polegać w każdej sytuacji. Po raz pierwszy poczuł, że faktycznie połączyła ich prawdziwa przyjaźń.

— Kocham cię, Turpin! — zawołał za nią.

— A ja cię nienawidzę! — fuknęła z przekąsem Lisa, ale na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech.

Po dłuższej chwili marszu droga zaczęła skręcać, a w oddali w ciemnościach pojawił się zarys zamku. Z każdym kolejnym krokiem Hogwart rósł w oczach. Martin tak bardzo zachwycił się jego wyglądem, że niemal zupełnie zapomniał o swoich problemach.

— Dochodzi druga w nocy — rzuciła Lisa, kiedy przekroczyli bramę szkoły, której strzegły posągi skrzydlatych dzików. — Wszyscy w zamku śpią. Mam nadzieję, że obejdzie się bez komplikacji.

— Longbottom nie będzie zachwycony, jeśli obudzimy go w środku nocy — stwierdził Martin, rozglądając się z przejęciem wokół siebie.

— Neville patroluje dziś korytarze — odpowiedziała Lisa. — Uczniom nie wolno nocą szwendać się po zamku, a zwykle wielu o tym zapomina...

Po chwili marszu przez błonia okalające zamek, wspięli się po kamiennych schodach i dotarli do dębowych wrót.

— Nie powiemy Neville'owi nic o zmieniaczu czasu — powiedziała Lisa, zatrzymując się na chwilę. — Po prostu wypytamy go, co wie o Traversie. Być może to pozwoli nam ustalić, co dokładnie planuje ten śmierciożerca...

— To jest raczej dość jasne — odrzekł Martin. — Pytanie nie brzmi, co planuje, tylko kiedy?

Lisa przytaknęła i pchnęła wrota. Na spowite w ciemnościach błonia padła wiązka światła.

— Ach, zapomniałabym! — zawołała, zanim weszli do przepastnej sali wejściowej. — Jakby co, jesteś moim bratem...

Martin zaśmiał się.

— To jak wytłumaczysz mój dziwny akcent? — spytał.

— Tym, że za długo siedziałeś za granicą — fuknęła z poirytowaniem Lisa.

Po chwili oboje przeszli przez salę wejściową i zaczęli wspinać się po marmurowych schodach.

Byli w ich połowie, kiedy nagle z korytarza wyłonił się jakiś szpetny, zgarbiony mężczyzna z łysiną na głowie i popsutymi zębami. Towarzyszył mu stary, wyliniały kot.

— O tej porze nie można sprowadzać do zamku gości! — burknął do Lisy, a Martin ponownie poczuł smród smoczej kupy i instynktownie cofnął się o krok. — Hogwart to nie jest burdel!

Lisa poczerwieniała na twarzy.

— Och, nie! Martin to mój... brat, panie Filch — wyjaśniła roztrzęsionym głosem.

— Taki z niego brat, jak ze mnie mamunia! — warknął woźny, tryskając przy tym śliną.

— W takim razie dobrze, że Lisa nie odziedziczyła po pani urody — zadrwił Martin. — To ten charłak, który sprząta kible w zamku, tak? — spytał dla pewności Lisę. Ta z zakłopotaniem potwierdziła.

— Przeproś profesor Turpin, albo pożałujesz, charłaku! — zagrmiał Martin, wyjmując błyskawicznie różdżkę i przy okazji uprawiając w osłupienie swoją przyjaciółkę.

— A cmoknij mnie w kuper, ty nędzna kupo łajna! — odrzekł z pogardą Filch i zanim Martin zdołał choćby drgnąć różdżką, kotka woźnego wskoczyła mu na głowę i zaczęła wściekle drapać go pazurami po całej twarzy. Salę wejściową wypełniły wrzaski Martina, który bezskutecznie usiłował pozbyć się natarczywego kota. Wtórowały im salwy śmiechu kilku duchów, które nagle wyłoniły się ze ściany i widząc całą tę sytuację zaczęły donośnie rechotać.

— To wcale nie jest śmieszne — stwierdził z rozgoryczeniem Martin, kiedy kwadrans później wraz z Lisą szedł korytarzem na trzecim piętrze, a jego przyjaciółka wciąż zanosila się śmie-

chem. — Ten parszywy kocur prawie wydrapał mi oczy!

— Trzeba było nie zadzierać z Filchem — stwierdziła z rozba-
wieniem Lisa. — On zawsze był chamski i gburowaty, więc zda-
żyłam już do tego przywyknąć. A Pani Norris zawsze była mu
bardzo oddana...

— Beznadzieja! — jęknął Martin, rozświetlając drogę różdżką.
— Nawet z żalonym charłakiem nie jestem w stanie sobie
poradzić.

— Właściwie, to z jego kotem — zachichotała Lisa, ale widząc
zrozpaczone spojrzenie przyjaciela, poklepała go po ramieniu.
— Nie bądź dla siebie taki surowy — zaproponowała. — Późno
odkryłeś swoje umiejętności. Nie miałeś czasu poznać zbyt wie-
lu zaklęć i nauczyć się sztuki pojedynkowania.

Martin prychnął wściekle.

— A żebyś wiedziała — syknął. — Od czterech lat wiem, że
jestem czarodziejem, a moja jedyna styczność z czarowaniem to
kilka miesięcy w szkole tego debila, Mieczysława Chrapkobąka.

— Myślałam, że w waszym kraju nie ma szkoły magii — zdzi-
wiła się Lisa, która także użyła zaklęcia Lumos, aby lepiej rozej-
rzeć się po korytarzu.

— No bo nie ma — odparł Martin. — Przynajmniej żadnej
zarejestrowanej przez Międzynarodową Konfederację Czaro-
dziejów. To, że jakiś półgłówek zamknie bandę nadpobudliwych
dzieciaków w opuszczonym pegieerze, zacznie machać im przed
oczami badylem i nazywać siebie profesorem, nie oznacza, że
będzie ich w stanie czegoś nauczyć...

Lisa miała już zapytać, co to takiego ten pegieer, kiedy nagle
jedne z drzwi uchylily się i na korytarz wyszedł jakiś przysadzisty
czarodziej. Miał wyciągniętą przed siebie różdżkę, której koniec
rozświetlał się nikłym światłem. Zanim się odezwał, Martin
zajrzał do komnaty z której wyszedł. Zdołał dostrzec, że było w
niej pełno gablot z pucharami.

— Kto tu idzie?! — zawołał nieznajomy, a kiedy rozpoznał twarz Lisy, opuścił różdżkę.

— Przepraszam, że cię niepokoję, Neville — przywitała się czarownica. — Ale potrzebujemy twojej pomocy.

Longbottom skierował różdżkę na twarz Martina, zupełnie go oślepiając.

— Będzie pan łaskaw opuścić różdżkę — zażądał z poirytowaniem Martin. Nauczyciel obdarzył go niezbyt przyjemnym spojrzeniem.

— To jest Martin Gande — wyjaśniła Lisa. — Mój brat.

Obaj czarodzieje niezbyt chętnie uścisnęli sobie dłonie.

— Nie wiedziałem, że masz brata, Liso — rzucił Neville, wciąż podejrzliwie przyglądając się Martinowi. — Brata, który mówi z bardzo dziwnym akcentem i ma inne nazwisko...

Lisa splonęła rumieńcem i spuściła wzrok. Martin dostrzegł, że zaczyna pękać.

— Od drugiego roku życia mieszkałem w Polsce — wyjaśnił pospiesznie, zanim Lisa puściła parę z ust. — Mój ojciec porzucił matkę Lisy, zanim ta poznała pana Turpin.

Neville obdarzył Lisę krótkim, nieco zakłopotanym spojrzeniem.

— Czyli jesteście przyrodnim rodzeństwem, tak? — upewnił się, a Lisa i Martin potwierdzili, kiwając głowami. Może nieco zbyt energicznie. Neville wyglądał jednak na przekonanego.

— To w czym właściwie mogę wam pomóc? — spytał zaciekawiony, kiedy po chwili ruszyli korytarzem w poszukiwaniu ucznia, który rozrzucił łajnobombę w skrzydle szpitalnym i teraz ukrywa się gdzieś w zamku. — Co mogę dla was zrobić?

Lisa i Martin wymienili krótkie, niespokojne spojrzenie.

— Zastanawiamy się, czy wiesz coś na temat śmierciożercy o nazwisku Travers? — spytał Martin. Neville zatrzymał się jak wryty. Obdarzył ich zaskoczonym spojrzeniem.

— A po co wam informacje o nim? — spytał szczerze zdumiony. Lisa bezdźwięcznie otworzyła usta. Martin zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi. Musiał mieć chwilę, żeby wymyślić jakieś kolejne, sensowne kłamstwo.

— Travers ukradł nam cenną rodzinną pamiątkę — odrzekł po chwili, a Lisa uniosła brew.

— No tak... naszyjnik naszej mamy... — dodała bez przekonania. — I chcemy go teraz odzyskać...

Neville obdarzył ich pełnym politowania spojrzeniem. Jego twarz wyglądała zupełnie jak twarze uczniów Znikającego Uniwersytetu, kiedy Mieczysław Chrapkobąk wmawiał im, że Wizingamot to nazwa sklepu z używanymi kociołkami.

— To niemożliwe, żeby Travers was okradł — odparł z przekonaniem, ponownie ruszając korytarzem. — Ten śmierciożerca zginął wiele lat temu. Tutaj, w Hogwarcie. W czasie bitwy, w której Voldemort ostatecznie poniósł klęskę.

— Jak na trupa był dość żywotny — stwierdził z przekąsem Martin, doganiając Neville'a. — Mam jeszcze pamiątkę po spotkaniu z nim — dodał, odsłaniając zabandażowane ramię.

— I chcecie mi wmówić, że śmierciożerca, który od lat uważany jest za zmarłego, zajął się teraz wykradaniem biżuterii? — spytał z niedowierzaniem Neville, a Lisa, która szła tuż obok niego, potwierdziła kiwnięciem głowy.

— Mam wrażenie, że nie do końca jesteście ze mną szczerzy — stwierdził chłodno nauczyciel zielarstwa. Lisa i Martin wymienili ponownie krótkie, pełne zakłopotania spojrzenia.

— Neville, naprawdę potrzebujemy informacji o tym facecie — powiedziała błagalnym tonem Lisa.

— No dobrze — westchnął Neville. — Opowiem wam o nim. Ale nie tutaj.